

Niemcy przy stole

Na stół wjechała zupa chlebowa.

– Ach... – rzekł Herr Rat, opierając się na blacie, by zajrzeć do wazy. – Dokładnie tego mi trzeba. Mój *magen* od paru dni lekko szwankuje. Zupa chlebowa, i to odpowiedniej konsystencji. Sam jestem niezłym kucharzem! – zwrócił się do mnie.

– O, to bardzo interesujące – odrzekłam, starając się, by w moim głosie nie zabrakło entuzjazmu.

– No tak, kiedy człowiek nie jest żonaty, to konieczne. Muszę przyznać, że otrzymałem w życiu od kobiet wszystko, czego pragnąłem bez małżeństwa – wetknął sobie serwetkę za kołnierzyk i dmuchnąwszy w zupę, mówił dalej. – Teraz o dziewiątej robię sobie angielskie śniadanko, ale nie za dużo. Cztery kromki chleba, dwa jajka, dwa plastry zimnej szynki, talerz zupy, dwie filiżanki herbaty: dla was to tyle, co nic.

Wygłosił to stwierdzenie tak kategorycznie, że nie miałam odwagi zaprzeczyć.

Wtedy wszystkie oczy skierowały się na mnie. Poczułam na barkach ciężar niedorzecznych śniadań całego narodu – i to ja, która rano, zapinając sobie guziki u bluzki, łykam tylko filiżankę kawy.

– Tyle co nic! – zakrzyknął Herr Hoffmann z Berlina. – Ach, kiedy byłem w Anglii, to jadałem rano co się zowie.

Przewrócił oczami i wąsami, ocierając z surduta i kamizelki strużki zupy.

– Oni naprawdę tak dużo jedzą? – zapytała Fräulein Stiegelauer. – Zupę, pieczywo i mięso wieprzowe, herbatę, kawę i duszone owoce, miód i jaja, zimną rybę i cynaderki,

gorącą rybę i wątróbkę? Czy wszystkie panie też tak jedzą? Naprawdę, panie też?

– Oczywiście. Sam to zauważyłem, kiedy mieszkałem w hotelu na Leicester Square – zawołał Herr Rat. – Hotel dobry, ale herbaty to robić nie umieli, więc...

– Ach, to jedno ja właśnie p o t r a f i ę – odezwałam się z radosnym śmiechem. – Potrafię zrobić bardzo dobrą herbatę. Tajemnica polega na tym, żeby podgrzać czajniczek.

– Podgrzać czajniczek – przerwał Herr Rat, odsuwając talerz z zupą. – A po co podgrzewać czajniczek? Ha! Ha! To bardzo dobre! Przypuszczam, że jednak czajniczka się nie jada?

Utkwił we mnie zimne niebieskie oczy, jego spojrzenie sugerowało tysiąc precyzyjnie zaplanowanych inwazji.

– Więc taka jest ta wielka tajemnica waszej angielskiej herbaty? Jedyne, co trzeba zrobić, to podgrzać czajniczek.

Chciałam powiedzieć, że to tylko wstępny krok, ale nie wiedziałam, jak to przetłumaczyć, więc milczałam.

Służący wniósł cielęcinę z kapustą kiszoną i ziemniakami.

– Kapustę kiszoną jadam z wielką przyjemnością – odezwał się Podróżnik z Północnych Niemiec. – Ale tak się jej najadłem, że już więcej nie zniósę. Natychmiast byłbym zmuszony...

– Jaki dziś piękny dzień – zawołałam, zwracając się do Fräulein Stiegelauer. – Czy wstała pani wcześniej?

– O piątej chodziłam przez dziesięć minut po mokrej trawie. Potem wróciłam do łóżka. O wpół do szóstej zasnąłam i obudziłam się o siódmej, zrobiłam sobie „przecierkę po wierzchu”. I znowu do łóżka. O ósmej wzięłam kompres z zimnej wody, a po wpół do dziewiątej wypięłam filiżankę herbaty miętowej. O dziewiątej wypięłam odrobinę kawy zbożowej i zaczęłam kurację. Czy może mi pani podać kapustę kiszoną? Pani nie bierze?

– Nie, dziękuję. Dla mnie nadal jest nieco za mocna.

– Czy to prawda – zapytała Wdowa, równocześnie dłubiąc sobie w zębach szpilką do włosów – że jest pani wegetarianką?

– No cóż, tak, od trzech lat nie jem mięsa.

– Nie-moż-li-we! Czy ma pani rodzinę?

– Nie.

– Otóż to, sama pani widzi do czego to prowadzi: czy kto słyszał, żeby żyć na samych warzywach i rodzić dzieci? Tak się nie da. Ale teraz w Anglii nie macie już dużych rodzin, podejrzewam, że jesteście zbyt zajęte tym swoim sufrażyzmem. Ja na przykład miałam dziewięcioro i wszystkie żyją, chwalić Pana Boga. Piękne, zdrowe dzieci, choć kiedy urodziłam pierwsze, musiałam...

– Ależ to c u d o w n i e! – zawołałam.

– Cudownie – powtórzyła wzdrgnięta Wdowa, wtykając szpilkę z powrotem w koczek, który balansował na czubku jej głowy. – Wcale nie! Moja przyjaciółka urodziła czworo naraz. Jej mąż był tak zadowolony, że wydał kolację i ułożył je wszystkie na stole. Ona była oczywiście bardzo dumna.

– Niemcy – zagrzmiał Podróżnik, ogryzając ziemniaka, którego nadział na nóż – to kraina Rodzin.

Nastąpiło pełne aprobaty milczenie.

Zmieniono talerze, by podać wołowinę, czerwone porzeczki i szpinak. Widelce zostały wytarte w czarny chleb i zaczęło się od nowa.

– Jak długo tu pani zostaje? – zapytał Herr Rat.

– Dokładnie jeszcze nie wiem. Muszę wrócić do Londynu we wrześniu.

– Odwiedzi pani oczywiście München?

– Obawiam się, że nie będę miała czasu. Wie pan, to ważne, aby nie robić przerw w mojej „kuracji”.

– Ale przecież m u s i pani jechać do München. Nie zobaczy pani Niemiec, jeśli nie będzie pani w München. Wszystkie

Wystawy, całe życie Artystyczne i Duchowe Niemiec jest w München. W sierpniu będzie Festiwal Wagnerowski, i Mozart, i kolekcja japońskiego malarstwa... no i przecież piwo! Nie dowie się pani, jak dobre jest piwo, póki nie pojedzie pani do München. Cóż, codziennie widuję eleganckie damy, ale te eleganckie damy, powiadam pani, wychylają kufle tak wysokie!

Odmierzył kufel na wysokość umywalni, a ja się uśmiechnęłam.

– Jak piję dużo piwa z München, to tak się pocę... – wtrącił Herr Hoffmann. – Kiedy tu jestem i spocę się na ławkach lub przed kąpielami, to mi to odpowiada, ale w mieście to już zupełnie inna sprawa.

Pod wpływem tej myśli otarł szyję i twarz serwetką stołową, a następnie starannie wyczyścił sobie uszy.

Na stole umieszczono szklane naczynie z kompotem morelowym.

– Ach, owoce! – rzekła Fräulein Stiegelauer. – Są absolutnie niezbędne dla zdrowia. Lekarz powiedział mi dziś rano, że im więcej będę jadła owoców, tym lepiej.

Zdecydowanie posłuchała rady doktora.

Podróżnik zagaił:

– Przypuszczam, że wy także obawiacie się inwazji, co? No i bardzo dobrze. Czytałem w gazecie o tych waszych angielskich gierkach. Widziała to pani?

– Tak – wyprostowałam się. – Zapewniam pana, że się nie obawiamy.

– A powinniście – powiedział Herr Rat. – Nie macie przecież armii, tylko tych kilku chłopaczków o żyłach zatka-nych nikotyną.

– Niech się pani nie boi – powiedział na to Herr Hoffmann. – My Anglii nie chcemy. Gdybyśmy chcieli, to już dawno byśmy ją mieli. My was nie chcemy, naprawdę.

Nonszalancko machnął łyżką, patrząc na mnie, jakbym była dzieckiem, które on może, zależnie od humoru zatrzymać lub zwolnić.

– My z pewnością nie chcemy Niemiec – odrzekłam.

– Dziś rano wziąłem półkąpiel. A po południu muszę jeszcze wziąć kąpiel na kolana i na ramiona – pospieszył z informacją Herr Rat. – Potem jeszcze godzinka ćwiczeń i jestem po robocie. Kieliszeczek wina i parę bułeczek z sardynkami.

Podano ciasto wiśniowe z bitą śmietaną.

– Jakie jest ulubione danie pani męża? – zapytała Wdowa.

– Sama nie wiem – odrzekłam.

– Sama pani nie wie? Jak długo jest pani zamężna?

– Trzy lata.

– Chyba pani żartuje! Przecież nie wiedząc tego, nie byłaby pani w stanie prowadzić mężowi domu nawet przez tydzień!

– Jakoś nigdy o to męża nie spytałam. On nie jest bardzo wybredny, jeśli chodzi o jedzenie.

Cisza. Wszyscy spojrzeli na mnie, kiwając głowami, a usta mieli pełne wiśniowych pestek.

– Nic dziwnego, że w Anglii powtarza się ta sama straszna sytuacja co w Paryżu – westchnęła Wdowa, składając serwetkę. – Jak kobieta może się spodziewać, że utrzyma męża, jeśli po trzech latach nie wie, jakie jest jego ulubione danie?

– *Mahlzeit!*

– *Mahlzeit!*

Zamknęłam za sobą drzwi.

Magda Heydel

Rytmy życia

O opowiadaniach Katherine Mansfield

Michał Choromański w *Memuarach* opisuje swój pobyt w luksusowym sanatorium gruźliczym w Górnej Sabaudii, do którego trafił w 1933 roku. „Nigdy przedtem, ani też nigdy potem nie mieszkałem w takim przepychu” – notuje. Wszystko jest tu znacznie lepsze niż w miejscach, w których dotychczas miał okazję się leczyć. Opisuje wytworne lobby, pokój luksusami przewyższający najlepsze hotele, w jakich bywał, złoto-ustego dyrektora, cudowną kuchnię, salę kinową, widok na Mont Blanc; ale największą atrakcją tej niesłychanie wytwornej placówki leczniczo-wypoczynkowej okazuje się niejaki monsieur Piston, tajemnicza osobistość, na którą wszyscy popatrują w niemym zachwycie, podczas gdy on sam nie popatruje na nikogo, a jedynie gdzieś w dal, ponad górskie szczyty. „Niezwykłość kroczyła za nim. Tylko wybrańcy losu są tak osamotnieni” – zauważa narrator, przeczuwając wielkość pana Piston, choć jako jedyny z kuracjuszy nie zdając sobie sprawy, z czego ona wynika. W końcu jednak ryzykuje kompromitację i pyta swojego sąsiada, kim jest pan Piston. „*Comment, vous ne savez pas?* – pada zdumiona odpowiedź. – *Mais alors!* [...] Monsieur Piston znał osobiście Catherine Mansfield. Leczył się w tym samym sanatorium, co i ona”¹.

Anegdota opowiedziana przez Choromańskiego w 1965 roku czytelnikom „Przekroju”, dziś być może nie całkiem czytelną, przywołuje nazwisko pisarki, która od lat trzydziestych

1 M. Choromański, *Memuary*, Poznań 1976, s. 111.

XX wieku cieszyła się sporą popularnością także w Polsce. W 1933 roku, kiedy Choromański poznaje pana Piston, w Warszawie ukazuje się tom opowiadań *Mansfield Garden party* w tłumaczeniu Bronisławy Kopelówny, rok później *Dzienniki* spolszczone przez Teresę Tatariewiczową oraz *Listy* w przekładzie Marii Godlewskiej. W okresie przedwojennym nie mieliśmy jeszcze po polsku ani Virginii Woolf, ani Jamesa Joyce'a, tymczasem opowiadania Mansfield (nie liczne, przyznajmy) oraz jej prywatne pisma były obecne na polskim rynku księgarskim, a co więcej, jej dzieło oraz życie stanowiły przedmiot dyskusji literackich i obyczajowych. Życiorys błyskotliwej, wyzwolonej kobiety, anglojęzycznej pisarki o nowozelandzkich korzeniach, która umiera na suchoty w wieku 34 lat, był gratką dla uczestniczek i uczestników dyskusji światopoglądowych, jakie toczyły się w społeczeństwie przechodzącym przyspieszony (i boleśnie niedokończony) kurs modernizacji².

Od początku chodziło o życie i twórczość Katherine Mansfield, a nie wyłącznie o jej twórczość – co zresztą było (i nadal bywa) charakterystyczne w recepcji pisarstwa kobiet, nieodmiennie zmuszanego do uzasadniania własnej wartości kontekstem pozaliterackim. W tym wypadku losy pisarki to przejmująca historia stawania na własnych nogach, gotowości do zmian, podejmowania odważnych, ryzykownych wyborów i testowania ich konsekwencji. Choć w pewnym momencie legenda Mansfield przyćmiewała dokonania pisarki dla rozwoju literatury modernistycznej, nie warto czytać jej utworów w oderwaniu od biografii.

2 Zob. J. Sobesto, *Katarzyna Mansfield. Obecność i recepcja twórczości Katherine Mansfield w Polsce*, praca magisterska na Uniwersytecie Jagiellońskim, Kraków 2018.

Kathleen – bo tak brzmiało pierwsze z licznych imion, jakimi się posługiwała – urodziła się 14 października 1888 roku w Wellington w Nowej Zelandii w szacownej i zasobnej rodzinie: ojciec, Harold Beauchamp, był finansistą, dyrektorem Banku Nowozelandzkiego; matka, Annie Burnell Dyer Beauchamp, urodziła sześcioro dzieci, z których jedna córka zmarła. Kathleen była trzecia z kolei, jej jedyny brat Leslie, który miał zginąć na froncie pierwszej wojny światowej, był najmłodszym dzieckiem w rodzinie. Rodzina posiadała dom w stolicy, a także na wsi, w Karori, gdzie dzieci spędzały czas pod opieką ukochanej babci ze strony matki. Portrety domów z czasów dzieciństwa, kreślone z wielką czułością i przejmującą uważnością dla detalu, są tłem wydarzeń w *Preldium*, *Garden party* i w kilku innych opowiadaniach.

Nowa Zelandia czasów młodości pisarki była najdaleszą prowincją Imperium Brytyjskiego. Chociaż więc Katherine Mansfield pochodziła z antypodów, to życie jej rodziny i klasy społecznej, do której należała, nie miało nic wspólnego z egzotyką: było częścią cywilizacji brytyjskiej, a centrum grawitacji stanowił Londyn, zarazem bardzo daleki i bardzo bliski. Kolonialne Wellington było miastem stworzonym na obraz i podobieństwo Londynu, a rodzina Beauchampów pomimo zadomowienia w Nowej Zelandii, czego wyrazem były rosnący status ekonomiczny i społeczny oraz kolejne luksusowe domy, stale oglądała się na to, co dzieje się w starej stolicy. Dla odmiany to, co działo się za płotem rezydencji czy nawet szeregowego domku na przedmieściu, nie miało większego znaczenia, a jeśli budziło zainteresowanie, było ono zaprawione obawą i odrazą. Mansfield dokona dekonstrukcji mitu bezklasowego społeczeństwa nowozelandzkiego: w *Garden party* i *Domku dla lalek* pokaże klasową przepaść, w utworze

o porwaniu Pearl Button zada pytanie o przesady etniczne oraz o granice wolności białych mieszkańców wyspy.

Rodzice wyjeżdżali – a właściwie wracali – do Anglii, czyli „do domu” na wielomiesięczne pobyty, tam też wysłali córki do szkoły. Katherine po kilku latach edukacji w Karori i Wellington uczyła się w Queen’s College w Londynie (1903–1906). Tam poznała Idę Baker, która miała zostać jej najwierniejszą przyjaciółką, towarzyszącą jej na każdym etapie życia, nazywaną „wierną żoną”. Po trzech latach powrót do Nowej Zelandii był dla rozbudzonej intelektualnie, artystycznie i życiowo dziewczyny trudny, a sztywna atmosfera domu nie do zniesienia. Kathleen udało się przekonać ojca, by w 1908 roku pozwolił jej ponownie wyjechać do Anglii i przyznał niewielkie środki finansowe. Zanim wyruszyła, zdążyła opublikować pierwsze krótkie opowiadania, odbyć parotygodniową podróż w głąb wyspy, kiedy to poznała bliżej dziką przyrodę i życie Maorysów, oraz przeżyć pierwszą lesbijską fascynację. Miała już nigdy nie powrócić do Nowej Zelandii.

Od chwili ponownego wyjazdu do Europy Katherine uwalnia się od ról przypisanych jej przez płeć, klasę, warunki ekonomiczne i kolonialne pochodzenie, by rozpocząć intensywny eksperyment, jakim było samodzielne, bezkompromisowe życie młodej pisarki w wielkim mieście. Ma dwadzieścia lat, jest odważna i dziecinna zarazem, równie samodzielna, co nieodpowiedzialna, bierze życie w swoje ręce, bez względu na wiążące się z tym ryzyko. Będzie szukać siebie: zmieniać imiona, fryzurę, styl, towarzystwo, partnerów. Stopniowo odcina więzy łączące ją z mieszczańskim światem epoki kolonialnej, który tylko pozornie był dobrze zdefiniowany i podporządkowany jasnemu systemowi niepodważalnych wartości. Mansfield była jedną z tych odważnych, twórczych

młodych buntowniczek, które nie tylko podważały wiktoriański konwenans, ale również wdzierały się w zarezerwowane dla mężczyzn przestrzenie zawodowe i społeczne. Jeszcze przez wyjazd z Nowej Zelandii, notowała w dzienniku:

Oto krótkie streszczenie tego, czego mi potrzeba: siły, bogactwa i wolności. To ta beznadziejnie nijaka doktryna, wedle której miłość jest jedyną rzeczą na świecie, uczona, wbijana kobietom do głowy od pokoleń, tak okrutnie nas ogranicza. Musimy pozbyć się tego straszdyła – a wtedy, wtedy pojawi się szansa na szczęście i wolność³.

Ponad dwie dekady później, w 1931 roku, ten sam program przedstawi Virginia Woolf. Najpierw, pisze Woolf w szkicu o pracy zawodowej kobiet, trzeba zabić „Anioła Domowego Ogniska”, czyli zinterioryzowany przez kobiety przymus dobroci i łagodności oraz poświęcania się dla innych kosztem własnych aspiracji; potem trzeba nauczyć się mówić otwarcie i prawdziwie o swoich przeżyciach i doświadczeniach cielesnych⁴. Życie i dzieło Mansfield stało się znacznie wcześniej realizacją takiego właśnie programu.

Edukacja w Londynie, a następnie możliwość przebywania w środowisku artystycznym, co Katherine zyskała dzięki finansowemu wsparciu rodziców (w późniejszych latach zresztą wątpiących w słuszność swojej decyzji), dały jej wolność do decydowania o własnym życiu. Wielkie miasto początku XX wieku, kipiące zarówno społecznie, jak i artystycznie, stanowiło dla osoby o podobnych aspiracjach przestrzeń idealną. To był czas młodych kobiet, odważnie łamiących wyznaczone im granice. W 1903 roku Emmeline

3 Cyt. za: C. Tomalin, *Katherine Mansfield. A Secret Life*, London 1988, s. 44.

4 V. Woolf, *Eseje wybrane*, przeł. M. Heydel, Kraków 2018, s. 282–283.